

STAŃCZYK PRAWDĘ POWIE

Ewelina Marciniak przyzwyczaiła śląskich widzów do zmysłowych, pięknych wizualnie spektakli, w których przewalają się lawiny tekstu urozmaicone artystycznymi piosenkami.

„Stańczyk” w Teatrze Rozrywki, najnowsza propozycja reżyserki, w ten schemat również się wpisuje. I dobrze. Ogląda się to dzieło z dużą przyjemnością, choć nie ukrywam, że przydałyby się mu nożyczki.

MARTA ODZIOMEK

„Stańczyk” z racji tego, że został wystawiony w teatrze muzycznym, jest - rzecz jasna - bardziej niż pozostałe spektakle Eweliny Marciniak umuzykalniony, choć musicaliem nie jest. Raczej spektaklem z songami, które komentują działania bohaterów albo popychają akcję do przodu. To dźwiękowe urozmaicenie przebiega właściwie trójtorowo, dzięki czemu mamy do czynienia z różnymi stylistykami, które zderzając się, tworzą oryginalną, melodyjną całość.

Pierwsza muzyczna ścieżka to transowe elektrobity Wojciecha Urbańskiego, które złowieszczą dudnią w przestrzeni pustej, jeśli chodzi o scenografię, sceny. Druga, autorstwa duetu Maja Kleszcz i Wojciecha Krzaka, inspirowana jest renesansową muzyką dawną i wykonywana przez zespół muzyczny Rozrywki, sprowadzony w tym celu na scenę (dyrygenta przebrano za księdza, muzyków za ministrantów, ale raczej w interakcje z postaciami nie wchodzi, prócz księdza). Gra delikatnie, rzewnie, sentymentalnie. Nuty te przyjemnie wpadają w ucho, czynią łagodny podkład dla równie lirycznych piosenek wyśpiewywanych przez ród wymierających Jagiellonów, bohaterów tego spektaklu. Żadnego dudnienia.

Trzecią warstwę muzyczną proponuje Stańczyk, tytułowa choć nie główna postać, który subtelnie, mądrze i po-

mysłowo wyśpiewuje - grając na keyboardzie - kolejne komentarze odnośnie zachowania królewskiej rodziny, u której jest zatrudniony. W tej roli oglądamy Grzegorza Dowgiałło, niewidomego aktora, z którym Ewelina Marciniak już nie raz miała okazję współpracować. Dowgiałło gra spokojnie, rozumnie. Rozumem, nie emocją. W przeciwieństwie do Jagiellonów, którzy zdają się kierować w swoim postępowaniu uczuciami, i ten kontrast jest uwypuklony od samego początku. Stańczykowi towarzyszy własna świta, tzw. Teatr Stańczyka - ubrana, podobnie jak Stańczyk, w czerwone sportowe bluzy znanej marki odzieżowej. To ta ekipa właśnie stawia tezę, którą potem musical próbuje udowodnić - że poprzez zabawę, humor, dowcipy, lżejszą treść, można mówić o sprawach poważnych. I myślę, że jej udowodnienie się udaje, wszak przykład takiego działania oglądamy na scenie i oglądaliśmy w innych spektaklach Rozrywki w przeszłości. Podobnie jak trafia do ludzi przekaz Stańczyka o tym, że warto słuchać żartownisiów, którzy wytykają rządzącym ich błędy poprzez ich (mniej lub bardziej życzliwe) ośmieszenie. I nie należy nigdy im tej możliwości zakazywać.

Spójrzmy na innych, właściwie najważniejszych, bohaterów tego show, czyli na ród Jagiellonów. Sportretowani są przez Jana Czaplińskiego, autora scenariusza, jako oddający się swoim namiętnościom, mało zaradni (no, może prócz królowej) ludzie, którzy



„Stańczyk” to ostatni duży spektakl za czasów dyrekcji Dariusza Milkowskiego

z dworską etykietą niewiele mają wspólnego. I przedstawieni na bardzo współczesną modłę - i dobrze, bo nie wyobrażam sobie, żeby ze sceny trąciło staropolszczyzną. Jak w serialu. Zygmunt Stary (grany poprawnie przez Artura Świąsę) jest głową państwa, która to państwo ma raczej w głębokim poważaniu, a zajmuje się wieszaniem arrasów w swoim zamku, który zresztą zaraz sponie. Wszak do historii przeszedł jako mecenas artystów i wielbiciel malarstwa oraz poezji. Jego żona Bona Sforza (żywiłowa, piękna i dostojna Alona Szostak) to jedyna z tego całego grona osoba, która ma głowę na karku, ale nikt jej nie słucha, bo to przecież cudzoziemka. Niemniej też stara się coś ugrać, prowadząc na boku handelek. Autorzy w budowaniu tej postaci znakomicie bawią się motywem dobrze wychowanej Włoszki, której przyszło żyć na prowincji (tej mentalnej również), w kraju, gdzie nie ma nawet porządnego mostu, a która zapamiętana została przez Polaków jako ta, która przywiozła nam włoszczyznę. Zygmunt August (zabawny Hubert Waljewski) to niezbyt rozgarnięty, zakochany w sobie i kochance Barbarze Radziwiłównie - drugiej żonie - typek. Ta zaś jest rozerotyzowaną do granic

bezczelną kokietką (emanująca seksapilem i świeżością Dominika Guzek). Pierwsza żona młodego następcy tronu zaś to postać najtragiczniejsza - mowa o Elżbiecie Habsburżance, która nie dość, że nie była przez niego kochana, to jeszcze nie lubiła jej Bona, a ona sama cierpiała na epilepsję (ciekawa Mirosława Żak, gościnnie). Ten zbiór kolorowych, kierujących się swoimi pobudkami (a niestety nie dobrem kraju) postaci uzupełniają znakomicie córki pary królewskiej, które na grzeczne i pobożne żony tresuje ich nauczycielka Pani Szydłowiecka. Nie wiem tylko, dlaczego czasem córki są zdublowane, może dlatego, żeby obrazek był pełniejszy (aktorkom w kluczowych scenach towarzyszą tancerki ubrane tak samo). Jest jeszcze wyborna scena z Mikołajem Rejem, który cytuję jeden ze swoich rubasznych wierszyków - wszak w dawnych czasach, podobnie jak i w naszych, takie sprośności najlepiej się sprzedają.

Ale delikatnie, bez przesady. W ubiorze, który jest chyba najbardziej widowiskowym elementem „Stańczyka”, dominują królewskie kolory, ale i zabawa modą. Dekor zaś jest bardzo skromny - całość wydarza się na ruchomym podium, przystrojonym dziesiątkami

reflektorów i chwilami ogromnym kryształem (to chyba nawiązanie do czarkamu na Wawelu, ale też metafora wielości poglądów bohaterów i przyszłego rozbicia Polski), oraz na bocznej scenie, której tłem jest roślinność. Myślę, że to ciekawa trawestacja samej przestrzeni Teatru Rozrywki - zarówno jego wnętrza (sceny), jak i zewnątrz (ach, ten bluszcz!), bo trzeba pamiętać, że jest to ostatni duży spektakl za czasów dyrekcji Dariusza Milkowskiego i być może to taki rodzaj nawiązania do historii chorzowskiej sceny.

O czym jest „Stańczyk” Eweliny Marciniak? O ludziach i ich namiętnościach. O tym, że wszyscy umieramy (zdecydowanie rodzina królewska żegna się na scenie z życiem za długo, drugi akt jest niemiłosiernie, niepotrzebnie rozwleczony!). O tym, że wszyscy jesteśmy podobni, ale różnią nas poglądy. O tym, że Polska sprzed 500 lat jest podobna do tej, w której żyjemy. O tym, że Złoty Wiek był pustą nazwą, a tak naprawdę był początkiem końca naszego kraju. Czy dzisiejsze czasy też zapowiadają katastrofę tylko - tak jak Jagiellonowie - nie potrafimy jej dostrzec, bo brak nam odpowiedniej perspektywy? Stańczyk tak właśnie myśli.

Kolejne spektakle dopiero jesienią. ◉